Oczy jak pięć złotych. Moja Ameryka.

Fot. ChatGPT

Piotr Maskos *(Oleśnica)*

Rok 1978 i okolice. W mlekiem i miodem płynącej krainie środkowego PRL-u — bo chyba każdemu z nas kraina

dzieciństwa płynie mlekiem i miodem — istniał legalny środek płatniczy znany jako „pięciozłotówka z rybakiem”. Była to moneta słusznej wielkości, niepokojąco jednak lekka, albowiem wykonana z „amelinium”. Materiał był nieco „miętki”, a wizerunek rybaka — poorany bruzdami zużycia, powycierany na wszystkie strony — nieubłaganie zanikał. To był słaby pieniądz. Stanowił jednak przedmiot pożądania blokowej dzieciarni, która mogła wymienić go na pudrowe draże, mleko w tubce, długaśne chrupki kukurydziane albo dmuchany ryż. Niebagatelny rozmiar monety mógł być przyczynkiem do powstania powiedzonka „mieć oczy jak pięć złotych”, co oznaczało zadziwienie podszyte zachwytem, ale nierzadko przerażeniem bądź zażenowaniem.

Rok 1985. Staję jako piętnastoletnie dziecię po raz pierwszy na amerykańskiej ziemi. To oczywiste i naturalne, że z miejsca robię oczy jak pięć złotych. Nie te z rybakiem, dużo większe. Łaskawy los rzuca mnie od razu na centralny Manhattan. Zachwyt jest prawdziwy. MoMA, Empire State Building, Times Square, kultowe kluby jazzowe na 42. ulicy (tu mnie nie wpuszczają), i wreszcie Tower Records (stąd to ja odmawiam wyjścia). „Prawdziwa Ameryka tak nie wygląda” – ojciec napomyka ostrzegawczo. Wspomina też mimochodem, jakie cechy charakteru powinienem posiadać, aby osiągnąć tutaj sukces. Gdzieżbym słuchał…

Po tygodniu tej olśniewającej zacofaną bida-młodzież turystyki

trafiam do średniej wielkości miasta w jednym ze stanów najgłębszego Południa. Jest tu duży uniwersytet, na którym moi rodzice są pracownikami naukowymi. Jest też — niestety, od razu i nieubłaganie — początek roku szkolnego. Następnego dnia po przyjeździe jadę już żółciutkim school busem do szkoły, wraz z ojcem, który wprasza się tam ze mną pomimo stanowczego zakazu kierowcy. Jego apel do sumienia w końcu skutkuje: wkurzony kierowca macha ręką, ale takich rzeczy się nie robi. Nagięliśmy system. Nie po raz ostatni. Z tyłu autobusu lecą ostre podśmiechujki. Zaczynam fatalnie. Na wszelki wypadek uznaję, że właśnie zrobiłem zerowe wrażenie. Bo pierwsze robi się tylko raz.

Jako nowy uczeń dostaję do wypełnienia ankietę. Mam z nią problem językowy, więc zabieram ją do domu. Jedno z pytań brzmi trochę dziwnie: „Czy często czytasz swoim rodzicom?” Sięgam pamięcią. Noooo, były takie sytuacje – jakieś dowcipy w gazetach, trafione w punkt fragmenty artykułów, recenzje tego i owego. Czasem się to czytało na głos ku uciesze domowników. Więc chyba odpowiem: „Tak”. Zasięgam opinii ojca. On też nie wie, o co chodzi, ale po chwili spływa na niego oświecenie. Twórcy ankiety w ten elegancki i niezmiernie cwany sposób zadają *de facto* pytanie: „Czy twoi rodzice są analfabetami?” To jednak odpowiem, że nie czytam.

Kraj, w którym się znalazłem, ćwiczy sztukę asymilacji

przybyszów od dwustu lat. Ten trening uczynił mistrza. Z miejsca zostaję – jak po sznurku – wciągnięty w machinę. Proces odbywa się szybko i sprawnie. Oprócz zwykłych lekcji mam dodane w grafiku zajęcia dla dzieci specjalnej troski lingwistycznej, czyli ESL (English as a Second Language). W klasie — zbiorowisko podobnego mi narybku świeżych imigrantów. Nie ma w ogóle takiej opcji, że ktoś jest obcy i nie jest imigrantem. Nikt tu nie przyjechał trochę pobyć ani na wakacje. Stąd się nigdzie nie wraca. Takie zwierzę nie istnieje. Można co najwyżej nie być uchodźcą. Młodzi imigranci pachną jeszcze trochę swoimi krainami. Liczebnie dominują Ameryka Środkowa, Iran oraz Wietnam. To te regiony i kraje są tu teraz na emigracyjnym topie. Często były to kraje, w których Ameryka wspierała obalone już rządy, a osoby z nimi związane musiały salwować się ucieczką. Zajęcia ESL, prowadzone przez pulchną, empatyczną Kubankę, to w mojej sytuacji błogosławieństwo. Na tacy podano mi nowych kolegów. Oni też uczą się angielskiego i są w takiej samej sytuacji jak ja. Bywa, że nowo przybyli nie mówią słowa po angielsku. Niektórzy są przerażeni. Siadają w kącie. Spuszczają głowy. Próbują znikać. Kubanka wyłuskuje ich i wspiera. Ja też lgnę mocno do tej pomocy. Po kilku dniach umawiam się z moim nowym meksykańskim kolegą na tenisa. System działa. Pewnego dnia Kubanka robi cykliczną pogadankę i tłumaczy, jakie cechy charakteru należy przejawiać, aby osiągnąć tutaj sukces. Czyta je z kartki, żeby się nie pomylić.

Po latach widzę jednak pułapkę systemu ESL, choć nadal nie widzę dla niego alternatywy. System ten wtłoczył mnie w „paradygmat imigracyjny”. Rozsiadłem się w nim wygodnie. Ograniczyło to moje kontakty z rdzennymi Amerykanami (nie, nie mam na myśli Apaczów), ponieważ ich nie wymusiło. Nie żeby oni rwali się do kontaktów ze mną. W Stanach jest tylu obcych, że nie stanowią oni żadnej atrakcji dla nikogo. Wręcz przeciwnie. ESL było pomocną dłonią na początek. Takie zagospodarowanie zagubionej duszy, wyciągnięcie z głębokiego dołu, trampolina do przyszłości. Oczekiwano, że z upływem czasu każdy poradzi sobie sam.

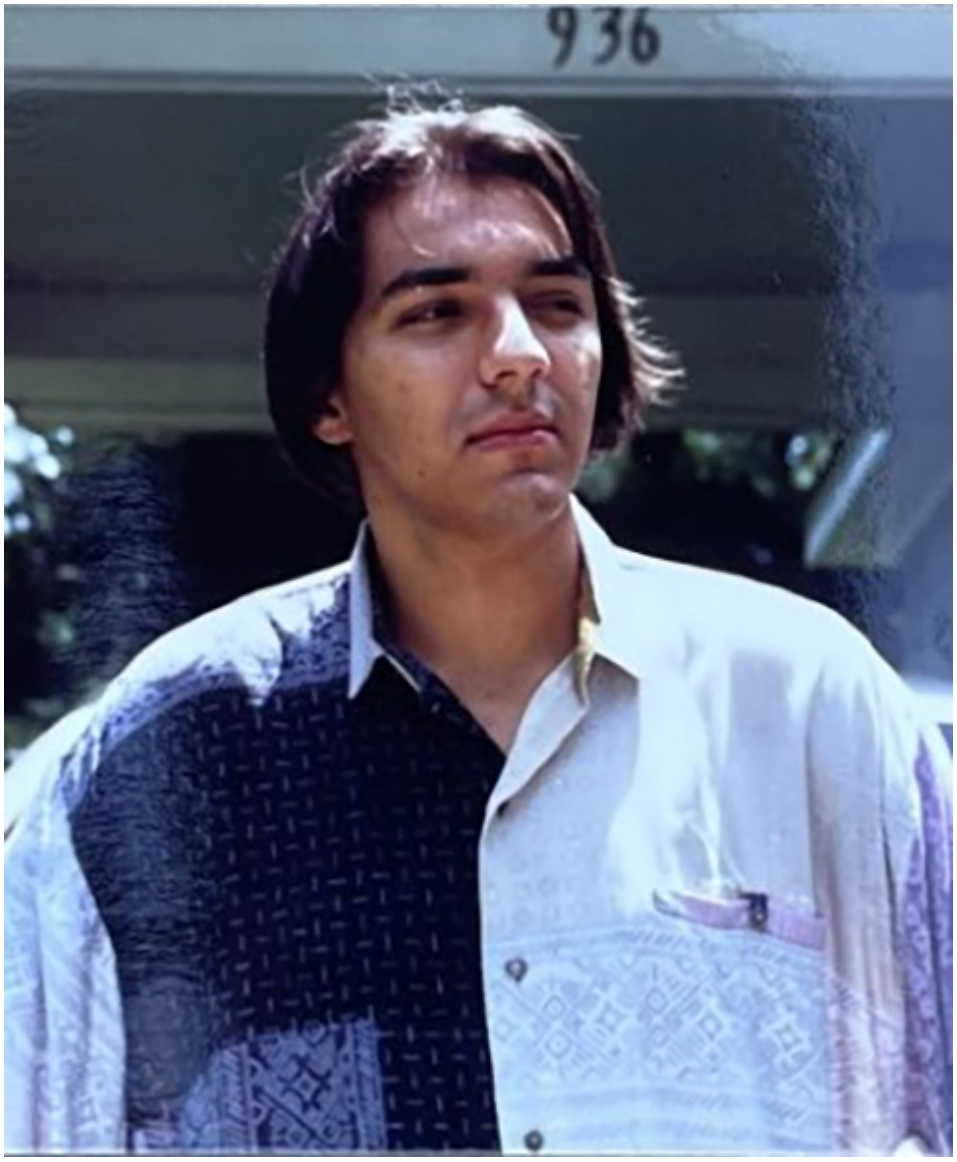

Piotr Maskos, fot. arch. autora

Rok 1986. Trochę to trwało, ale w końcu dociera do mnie, że z turysty na dobre zamieniłem się w imigranta, i to nawet – jak się później okaże – politycznego. Mówi się, że pierwsze pokolenie imigrantów ma zawsze rozdarte serce. Idzie na straty, bo za dużo w nim ojczyzn. Aby ratować samopoczucie, wmawiają sobie, że poświęcają się dla dzieci. Cierpią dla bezspornie słusznej sprawy: przyszłego materialnego dobrobytu dzieci.

Obserwując rodziny kolegów z zajęć ESL oraz lokalną Polonię

skupioną wokół kośc…, a właśnie, że nie, bo uniwersytetu…, miałem okazję doświadczyć całego wachlarza zachowań imigrantów. Teraz, po latach, ocenę celującą w kategorii „profesjonalny wzorowy imigrant” przyznałbym młodej parze Polaków, która przybyła z dzieckiem w wieku szkolnym. Postanowili całkowicie wytrzebić z siebie wszelkie zaszłości dawnego kraju. Szerokim łukiem omijali Polonię. W domu z własnym dzieckiem mówili wyłącznie po angielsku. Uczyli się prawdziwego języka ulicy od własnego dziecka, wysłanego do szkoły. W tamtych czasach polskiej emigracji nierzadko towarzyszyła desperacja podszyta jakby irracjonalną, wmówioną sobie nienawiścią do polskości, jakimś bezpodstawnym wstydem.

W mojej szkole średniej około 45 procent uczniów stanowią Afroamerykanie. Jej patronem jest generał Robert E. Lee. To wybitna postać historyczna, głównodowodzący wojsk Konfederacji w wojnie secesyjnej. Wojnę wygrała Północ (The Union), więc jako zwycięzca dostąpiła prawa i zaszczytu opisania jej przebiegu dla przyszłych pokoleń Amerykanów oraz reszty świata. Dominującą narracją tego opisu jest wyzwolenie niewolników. Północ, ucieleśniona przez republikanina Lincolna, nie bacząc na własne straty, przyniosła uciśnionym czarnym masom sztandar wolności. Biali Południowcy do dziś za bardzo tego nie kupili. Po latach drobnym pocieszeniem wydaje się możliwość uhonorowania przywódców przegranej sprawy. Miejscowości, ulice i szkoły nazywane są imionami wojennych

bohaterów Konfederacji. Ten temat jest soczyście niuansogenny. Po pierwsze, jak czuli się świadomi Afroamerykanie, chodząc do szkoły nazwanej imieniem człowieka, który de facto walczył, aby ich przodkowie pozostali niewolnikami? Po drugie, zastanawiam się, czy pewne polskie postacie historyczne, kontrowersyjne i powiązane z niejako przegranymi i wątpliwymi sprawami, miałyby szansę na taki honor w Polsce przy milczącej akceptacji społecznej. Dekomunizacja nazw rozpoczęta w latach 90. przebiegała raczej bez protestów. Czy któraś z tych wygumkowanych wtedy osób ma szansę powrócić? Po latach historia, pobudzona przez ruchy „woke", scancelowała – mówiąc politycznie poprawną nowomową – generała Lee i 16 lipca 2020 roku, po kilku miesiącach pyskówek w różnych urzędach, oficjalnie zmieniono nazwę szkoły na Liberty High School. Lee-berty… Cwane.

Minął rok. Przeżyłem trudny początek. Jakoś uczestniczę w życiu szkolnej społeczności. Na klasówkach podrzucam co fajniejszym dziewczynom rozwiązania zadań z przedmiotów ścisłych. Są mocno zaskoczone, bo tu nikt nikomu tak nie pomaga. Taka pomoc jest nieetyczna. No jest, ale ja tego wtedy nie wiem. Poprawną ścieżką podrywu byłaby randka w bibliotece, połączona naturalnie z darmowymi korepetycjami. Dziewczyny jednak się cieszą i proszą o więcej. No problem. Zostałem takoż deprawatorem tej pięknej, uczciwej młodzieży. Dołączam do szkolnej drużyny piłki nożnej. Aby zarobić na ekwipunek,

miesiącami snuję się po szkole z wielką torbą Twixów i Snickersów. Biznes idzie świetnie. Młodzież żre cukier na potęgę, bo przecież cukier krzepi. Na koniec sezonu zajmujemy drugie miejsce w rozgrywkach stanu Luizjana. Wykorzystując wiedzę zdobytą jeszcze w polskim liceum, biorę udział w olimpiadach z matematyki i chemii. Wygrywam to i owo na poziomie lokalnym. Zresztą większość dzieci po szkołach polskich radzi sobie tutaj znakomicie.

Pewnego dnia zostaję poinformowany, że dzisiaj zamiast WF-u nauczą mnie jeździć samochodem. Od razu wyjeżdżamy na ulicę. Tu nie ma chodników i pieszych, więc nikogo nie rozjadę. Dwie takie lekcje w szkole, krótki test teoretyczny w urzędzie (trzeba wykuć drogi hamowania w stopach przy szybkości w milach na godzinę), następnie test praktyczny, czyli objazd kilku przecznic trwający raptem jakieś osiem minut. Bez strat w sprzęcie i infrastrukturze ulicznej — czyli zdałem. Aha, jeszcze całe dwanaście dolarów opłaty — i prawo jazdy jest moje. Po powrocie do Polski wkraczam pewnym siebie, zamaszystym krokiem do urzędu komunikacji i z pokerowym wyrazem twarzy wymieniam je na polskie.

Rok 1987. Za szerzenie niezmiernie przygnębiających wierszy pewnej współczesnej angielskiej poetki zostaję wezwany przed oblicze szkolnej pani psycholog. Ta, skrzętnie notując, co mówię, dobrodusznie wypytuje o źródło tych niecnych treści i wyjaśnia,

że w życiu należy być wesołym, a nie smutnym. Potem dowiaduję się, że istnieje ruch rodziców, wspierany przez szkoły i grona pedagogiczne, stawiający sobie za cel ograniczanie młodzieży dostępu do niewłaściwych treści. A ja się wygadałem i to bez tortur, skazując angielską poetkę na medialny niebyt. Na szczęście i tak już była w nienajlepszym nastroju.

Przy innej okazji wzywa mnie pan dyrektor całości i zapytuje, czy to ja kolportuję po szkole pornografię. Podczas krótkiej rozmowy pada klasyczne pytanie o bycie komunistą. Bożeż ty mój, kiedy przylgnęła do mnie etykieta wywrotowca? Nad dyrektorem wisi portret McCarthy'ego, który zerka na mnie srogo. Makkartyzm wiecznie żywy. Notuję, że w tym stanie jeszcze nie wiedzą, że jest on już trochę passé. Tłusty dyrektor, zadając swoje pytania, trzyma nogi na biurku. Scena jak z filmu. Z filmu… Postanawiam uciekać. Wybiegam z gabinetu, dwóch typów z FBI czeka już z kajdankami. Pierwszy dostaje kopa i wypuszcza kajdanki, które lecą po podłodze. Drugi podejmuje pościg i natychmiast wypierdziela się na nich. Mam 15 jardów przewagi. Biegnę po przyłożenie. Wybiegam ze szkoły. Wszystko wyje na czerwono-niebiesko. Święto czwartego lipca!? No nie, wtedy są wakacje. Te wspaniałe, błyskające światła to policja. Jest też straż pożarna, ambulans i lokalna TV. Koledzy tłoczą się daleko za barierkami policyjnymi i trzymają transparenty z lewackimi hasłami. Machają do mnie. Facet ukryty za samochodem mówi przez megafon, że jak od razu się poddam, to mnie deportują

tam, skąd przyjechałem. Tak, tak! Ale nie. Nie mogę tego zrobić starym. Pryskam w dżunglę, która rośnie przy szkole. Tam jeszcze nigdy nikogo nie odnaleźli. Słychać wycie syren i strzały. Na mokradłach bayou odpływam w zachód słońca na grzbiecie aligatora. See you later, alligator! Napisy końcowe. Następnego dnia moi czarni bracia przybijają mi piątki i z uznaniem w oczach mówią, że nie wiedzieli, że jestem taki „bad madafaka, bro".

Aby poczuć się lepiej, poczynam tworzyć analizy socjologiczne. Mają przedstawić mnie sobie w lepszym świetle. Bacznie obserwuję otoczenie i wyciągam wyłącznie niewłaściwe wnioski. Jeżeli w Polsce, aby zaistnieć w grupie, trzeba było jakoś wyróżnić się na jej tle, to mam wrażenie, że tu jest odwrotnie. Istnieje jakiś pęd do wtopienia się. Idealizuję własną wyjątkowość. A być może otaczająca mnie apologia konformizmu miała głęboki sens dla społeczeństw już nieco osiadłych, nienękanych konwulsjami wojen, przewrotów, rewolucji, gułagów, migracji ludności tam i nazad. Po prostu to była normalność przekazywana kolejnym pokoleniom jako zestawy stałych, sprawdzonych wartości. Nie robimy rewolucji, kiedy wszystko jest OK. A jest OK, bo nikt z zewnątrz nam nic nie każe. Sami się urządzamy tak, jak chcemy. To jest nasze i już. Ewoluujemy nienękani. Dlaczego buntować się przeciw temu? Nie rozumiałem tego wtedy.

Zauważam wyraźny trend antyintelektualny. Dotyczy on w

zasadzie całego społeczeństwa, jest jawnie propagowany przez media i kulturę głównego nurtu. Ten trend rodzi dwie niesympatyczne cechy, o które Amerykanie jako naród oskarżani są (i obśmiewani) na całym świecie. Może te oskarżenia też leczą czyjeś kompleksy, ale nie można się nad nimi nie pochylić. Pierwszą cechą jest ignorancja, czyli stosunkowo niewielka wiedza na temat otaczającego świata, tego poza Stanami. Świat oczekuje od Amerykanów — ponieważ ich kraj osiągnął niebywały sukces — pewnej świadomości, z pewnością większej od przeciętnej. Według wizji ignoranta świat podzielony jest na Amerykę (co na to pozostali mieszkańcy tego kontynentu?) i resztę krajów, stanowiących zlepek zamieszkiwany przez dzikich i terrorystów. Rdzeniem angielskiego słowa ignorance jest „ignore", a więc to nie jest zwykła niewiedza. To wręcz świadome jej niepozyskiwanie z otoczenia, ignorowanie jej właśnie, ochocze przyzwolenie sobie na tę niewiedzę. A premedytacja to już grzech. Ten antyintelektualizm to temat dla socjologów albo psychiatrów… Ignorancja rodzi drugą cechę: arogancję. Taki nieco paternalistyczny stosunek do reszty świata. Bo skoro USA to „the greatest country in the world", to wszystkie pozostałe są mniej „great". To logiczne.

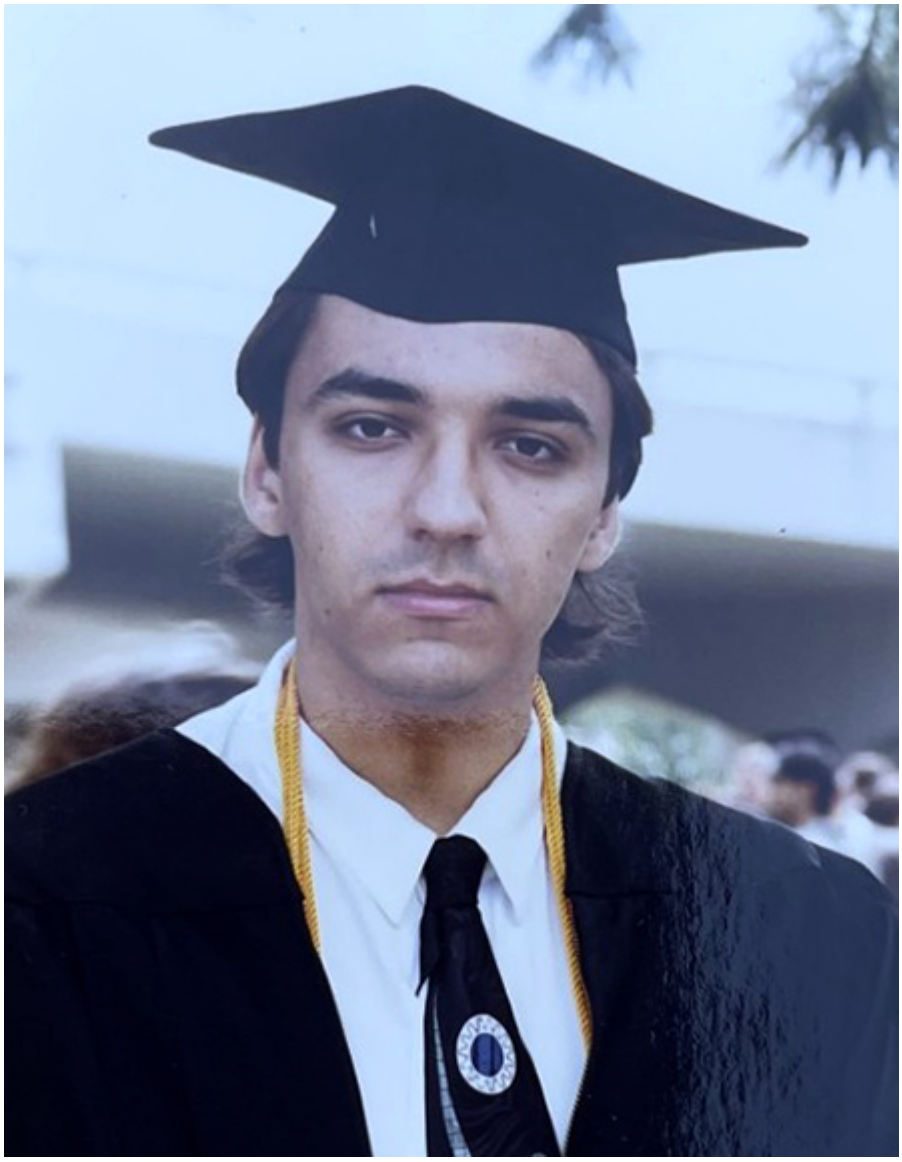

Piotr Maskos, graduation, Louisiana State University, Baton Rouge, 1992 r., fot. arch. autora

Rok 1988. W ostatnich semestrach szkoły średniej podchodzę parę razy do testów ACT i SAT. Są to testy, które można zdawać kilka razy. Liczy się najlepszy wynik. Na ich podstawie następuje kwalifikacja na studia i przyznawane są ewentualne stypendia na studia w drogich uczelniach prywatnych. Na SAT zdobywam maksymalną liczbę punktów z matematyki i około 70 procent z angielskiego. Rodzice triumfują. Ja jestem załamany. Tłumaczę im, że gdyby egzamin był po polsku, to i z angielskiego, znaczy

polskiego, miałbym 100 procent. Wykładam się na znajomości rzadkich słów, które istnieją chyba tylko po to, aby umieszczać je w tych testach. Ta przeszkoda jest dla mnie nie do przeskoczenia w tak krótkim czasie. Musiałbym od lat nasiąkać nimi w domu rodzinnym, dużo więcej czytać po angielsku i to rzeczy specyficznych, napisanych górnolotnym, trudnym językiem. Zostałem odsiany.

Rok 1989. Pod koniec tego roku cała rodzina dostaje zielone karty. Oficjalną podstawą jest udzielenie nam azylu politycznego. To piękny gest, bo w Polsce zagraża nam reżim komunistyczny, którego urzędującym premierem jest ten niesławny krwiożerczy aparatczyk Tadeusz Mazowiecki. Są takie chwile, gdy koła historii toczą się szybciej niż dyrektywy urzędnicze.

Na kampusie jest kino studenckie, gdzie oprócz copiątkowego obowiązkowego „Rocky Horror Picture Show" grają filmy bardziej niszowe, a nawet, o zgrozo, takie z napisami po angielsku. Pewnego wieczoru w tym siedlisku zła i wrogich nam ideologii puszczają niemiecki film w reżyserii Wima Wendersa, którego oryginalny i również polski tytuł brzmi „Niebo nad Berlinem". Tu film niemiecki to prawie jak polski. Dystrybutorzy amerykańscy przezornie zmieniają tytuł na „Wings of Desire", chcąc być może uniknąć skojarzeń wojennych. Wychodzę z kina odmieniony. Coś we mnie kliknęło. Rzecz jest o aniołach, którzy postanawiają zstąpić ze swych niebiańskich superpozycji do

twardego życia nieustannie obserwowanego przez nich na dole, a przy okazji doznać ludzkich przeżyć i emocji. Formalnie to ich upadek, dający jednak nadzieję na dużo ciekawszą, choć znacząco krótszą egzystencję. Tak, ten film zaprawdę przemówił do mnie „językami aniołów”. Siedzę pod kinem i czuję, że właśnie zrobiłem ten „time warp”, o którym drą się w „Rocky Horror”. Czuję, że stało się coś fenomenalnego. Jeszcze nie wiem co, jeszcze muszę to sobie uporządkować, ale nie jestem już zawieszony w nicości. Osiadłem i stąpam po twardym gruncie. Nigdy później żadne dzieło kultury ani sztuki nie będzie miało większego wpływu na moje życie.

Zostaję pilnym studentem. Rzadko wychodzę z domu. Oglądam „Hair” i Woodstock. Czytam Kerouaca i Salingera. A potem wychodzę na ulicę i coś tu mi (dosłownie) nie gra. Potem mnie oświeca. Przecież w filmie było wyraźnie pokazane, że hipisi mieszkają w Central Parku. Jest ich może w sumie pół setki i zarabiają na życie, grając hipisów w filmach o hipisach. Bohaterowie Kerouaca siedzą w areszcie. Ci od Salingera dawno przedawkowali. McMurphy pozostaje niezmiennie uduszony przez Indianina. Wolny duch to bajka Hollywood. W tym kraju rządzi protestancki etos pracy. Swym stanem niepokoję bliskich. Coraz częściej słyszę w domu namowy do zmiany i instrukcje o tym, „jakie cechy charakteru…”.

Rok 1991. Nirvana nagrywa „Smells Like Teen Spirit”.

Bossowie przemysłu muzycznego postanawiają, że to w tym roku alternatywa stanie się mainstreamem. Nie wszystkim muzykom wyjdzie to na dobre. Dla mnie już też jest za późno. Ekstrapoluję wszystkie możliwe ścieżki wydarzeń. Startując z miejsca, w którym stoję, żadna nie prowadzi mnie tam, gdzie chciałbym być. Może mam za słabą wyobraźnię. Może stoję w złym miejscu.

Gorący i parny wiosenny weekend. Jedziemy na coroczny New Orleans Jazz & Heritage Festival. Festiwale na świeżym powietrzu nie mogą odbywać się tu w lecie. Nikt by tego upału nie wytrzymał. Ojciec ma uśmiech od ucha do ucha. Chyba coś knuje. Na miejscu — tłumy. Parkujemy daleko i przedzieramy się w stronę scen. Po drodze na każdym rogu grupy muzyków – lokalnych i przyjezdnych – łączą się spontanicznie w pięciominutowe zespoły. No tak, jazz to improwizacja. Wokół wszyscy tańczą i bawią się. Absolutnie najwspanialsza atmosfera, jaką można sobie wyobrazić. Tak wygląda niebo tych, którzy kochają muzykę. Przy jednym z namiotów tłum jakby większy. Na scenie człowiek w wielkich okularach i długim kolorowym chałacie. To trębacz. Stoi nieruchomo, jakby zastygł, ale jego zespół daje z siebie wszystko. Ma się wrażenie, że sygnał idzie skądś z góry, z niebios, a ten muzyk jest tylko przekaźnikiem tych boskich dźwięków. Czara trąbki skierowana prosto w ziemię. To wszystko jest przeznaczone specjalnie dla matki Gaji. Oj, dzieje się. Tutaj odbywa się transmisja geniuszu. Wiele lat później, gdy opowiadam o tym koncercie, dorośli mężczyźni robią

oczy jak pięć złotych i pojawiają się w nich łzy zazdrości. Sam sobie zazdroszczę jak nie wiem co. A ojcu nigdy nie odpłacę się za to, że mnie tam zabrał. Bo ten człowiek z trąbką to TEN człowiek z trąbką. Kosmita. Miles Davis.

Piotr Maskos z rodzicami, graduation, Louisiana State University, Baton Rouge, 1992 r., fot. arch. autora

Rok 1992. Domęczam do końca studia i informuję najbliższych o mojej decyzji powrotu do Polski. Na miejscu jednak szok. Ciemno, ponuro, dziwnie jakoś. A do grozy listopada jeszcze parę

dobrych miesięcy. W moich optymistycznych kalkulacjach nie ująłem klimatu. Starzy i nowi znajomi. Wszyscy zadają to samo pytanie: „Dlaczego wróciłeś?!”. W pytaniu jest więcej wykrzykników niż pytajników. Czasem nie ma pytajników wcale. Tu żadna odpowiedź nie zadowoli pytającego. Wie, że głupio zrobiłem. On by na pewno nie wrócił. A ja plączę się w zeznaniach. Tubylcy co rusz robią oczy jak pięć złotych. Niektórzy zaczynają tłumaczyć mi, jakie cechy charakteru powinienem przejawiać, aby osiągnąć tutaj – w Polsce – sukces. Połowę tego chyba już gdzieś słyszałem. Druga połowa to nowości. Droga do sukcesu nie jest uniwersalna.

Mijają pierwsze miesiące. Zastanawiam się nad praktycznymi korzyściami płynącymi z pobytu w USA w kontekście mojego przyszłego życia w Polsce. Angielski na pewno, ale nie tylko. To zresztą zaleta średnioterminowa. W tej chwili polska młodzież, wychowywana przez internet, mówi świetnie po angielsku. Zauważam też pewne nabyte cechy, które odróżniają mnie od rówieśników. Oni również je zauważają i mówią mi o nich wprost. Kurcze, znowu jestem inny niż reszta. Ale teraz to zaleta. Będąc w Stanach, broniłem się przed nimi, a jednak nabyłem je chyba drogą mimowolnej osmozy. Po pierwsze: pewien optymizm graniczący z łatwowiernością. „Jak to się nie da? Oczywiście, że się da. O, proszę…”. Tamto pokolenie Polaków miało jeszcze wgrany ten PRL-owski program, że nic się nie da zrobić. A ja mam amerykański „can-do attitude”, choć w Stanach objawiał się

on często jako „can’t do”. Po drugie, i to wręcz ironiczne w kontekście tej opowieści: nieobarczanie innych osób winą za porażki w swoim życiu. Róbmy swoje! Po trzecie, i z tego nie powinienem być specjalnie dumny: nabyty bezduszny pragmatyzm. Każde działanie jest po coś. Nie ma pustych przebiegów. Nie zatrzymujemy się, aby powąchać kwiatek, przytulić drzewo. Choć nie wszedłem nawet na ścieżkę zawodową w USA, kultura korpo jakoś przeniknęła mnie na wylot. Wiele lat zajmie mi pozbycie się takiego myślenia i wrzucenie na luz. Na początku mojej polskiej drogi to przeniknięcie kulturą amerykańskiego zapierdzielu odróżnia mnie i jest dla mnie korzystne.

Z niepokojem stwierdzam spore braki w moim wykształceniu. Moi koledzy nie zamknęli się w ciemnej piwnicy na siedem lat mojej nieobecności. Moje braki wynikają z pominięcia formalnej podstawy programowej w liceum ogólnokształcącym – głównie w obszarze lektur i historii Polski. Z tym da się żyć. Nie musiałem też pisać matury. Udało mi się również uniknąć pierwszych lat studiów – zazwyczaj służących do odsiania słabszych studentów. Na co dzień bardziej doskwierają mi luki w wiedzy z obszaru bieżącej polityki, która wydaje się zresztą bardzo niezdrowo wszystkich tutaj pobudzać i pochłaniać. Mam też braki kulturowe. Dotyczą one literatury współczesnej, muzyki czy filmu. Pozycje obowiązkowe, zaliczane przez moich kolegów jeszcze w szkole średniej i na studiach, to dla mnie nowość.

Muszę nadrabiać spore zaległości. Ja mam inne doświadczenia – chcąc nie chcąc, liznąłem amerykańskiego kanonu kulturowego, ale mogę się nimi podzielić jedynie z pasjonatami tematu. To dokładnie lustrzane odbicie sytuacji amerykańskiej. Istnieje pewien kanon kulturowy, który trzeba znać, aby egzystować jak swój w danym środowisku. Aby rozumieć dowcipy, odniesienia, aluzje, niuanse i nie pytać w kółko jak idiota, o co chodzi. Elementy kultury masowej, absolutnie podstawowe w USA (np. Mr. Rogers, komiksy o superbohaterach, kultowe seriale ze złotej epoki telewizji), są raczej nieznane w Polsce i odwrotnie. Ta przepaść – dzięki globalizacji – będzie w przyszłości malała. Ale pamiętajmy, że globalizacja to wielki bajer. Tu absolutnie nie chodzi o żadną wymianę kulturową. To, co twoje, nikogo nie interesuje. Celem tego procesu jest tylko i wyłącznie zasypywanie tej przepaści poprzez sprzedaż produktów kultury korporacji medialnych na świecie. Nikt nie wprowadza globalizacji, aby importować cudze. Koncepcja globalizacji jest jednym z najbardziej perfidnych kłamstw współczesnego świata.

Zostaję na dwa lata studentem Politechniki. Zaczynam od czwartego roku. Magister się sam nie zrobi. Idzie gładko. Tym, którzy dotrwali do tego miejsca, uczelnia nie robi już większych problemów z ukończeniem studiów. Potem znajduję pracę w rodzącej się powoli branży IT. Czerpię garściami z doświadczeń amerykańskich. W międzyczasie pojawiam się w Stanach na tydzień, żeby odebrać obywatelstwo. O tak! To było szczurowate.

Do dziś jest mi z tego trochę głupio. Śpiewam hymn i przysięgam na flagę bronić Ameryki, z którą już się mentalnie pożegnałem. Stosunkowo łatwo to zrobić, bo nie ma przed kim. Jedynym zagrożeniem dla Ameryki jest ona sama, ale wtedy nikt jeszcze o tym nie wie. A nie, przepraszam. Noam Chomsky wie.

Rok 1999. Na przełomie tysiącleci wracam do USA. Na elemencie układanki, którego mi brakowało, aby do końca ułożyć moją amerykańską układankę, widnieje napis „praca". Samodzielnie oddelegowuję się na dwa lata do amerykańskiego oddziału szwedzkiej firmy IT, w której pracuję od końca polskich studiów. Oddział amerykański jest w Folsom w Kalifornii. To tam, gdzie Johnny Cash nagrał swój świetny koncert więzienny. I znowu zaczyna się dobrze, ale stare koszmary szybko powracają. Firma to zbiorowisko jednostek w sztywnym tańcu politycznej poprawności. Nie chodzi o tę jedną, Bogu ducha winną firmę. O każdą. Trzeba uważać, co się mówi. Szkoda, bo najlepsze są dowcipy troszeczkę niepoprawne. W pracy najlepiej mówić tylko o pracy. Wszyscy brodzą w płytkich morzach powierzchowności. Może na tym polega ta cywilizacja? Na ociosywaniu nas z wszelkich wynaturzeń i narośli, aby dało się nas wszystkich świetnie formować w równe sześciany, łatwo wymieniać jedne na drugie, co znacząco ułatwia również pakowanie do pudeł zbiorczych. Pod koniec tych dwóch lat znowu liczę dni do powrotu. Konstatuję z pewnym żalem, że co najmniej połowa z dziewięciu lat, które spędziłem w Stanach, polegała na liczeniu

dni do powrotu do Polski. Gdy tu jestem, jestem chyba największym marnotrawcą czasu własnego życia. Nie powinienem tu być. Więc bye.

Wtedy tego nie wiedziałem. Nie łączyłem kropek. Objawienie przyszło dużo później, całkiem niedawno. Jest to objawienie czysto subiektywne, pewnie znowu niesłuszne. Dla wielu może być herezją i uproszczeniem. Wmówiona mi „niedoskonałość", będąca ciągłym źródłem poczucia gorszości, poczucia winy z powodu własnej nieadekwatności i wpędzania w kompleksy — była celową manipulacją. Ktoś bierze miarę naszej osobowości, cmoka coś tam pod nosem z niezadowoleniem: tu za grubo, tam za chudo. Ale nie martw się, chłopie. Przecież: „Tak!!! Możesz się zmienić!!!" Obiecujemy ci to! Jeżeli będziesz pracował nad sobą zapamiętale i nieustannie, to wcale nie jest powiedziane, że w końcu nie staniesz się takim, jakim zawsze być powinieneś. Posiądziesz cechy idealnego sprzedawcy. Bo my tak naprawdę potrzebujemy tutaj tylko sprzedawców. Wszystko jest towarem. A ty jesteś wart tyle, ile potrafisz sprzedać. Nie chcę już brać udziału w szopce wiecznej rozmowy kwalifikacyjnej i udawać z uśmiechniętą gębą, jak dobrze potrafię sprzedać komuś wymyślony długopis. Jeżeli ktoś go potrzebuje, to dam mu swój. Naprawdę. Mam jeszcze ołówek.

Rok 2001. Wracam wyleczony na zawsze z Ameryki. Moja terapia – czy może resocjalizacja – w Folsom powiodła się. Teraz

Polska! I tak już zostanie. Życie w naszym pięknym kraju stopniowo normalnieje. Dostrzegam i autentycznie raduję się wszystkim dobrem, które wyrasta wokoło. Wracam za ocean sporadycznie, na ważne wydarzenia rodzinne. Wtedy jestem tam turystą jak na początku na Manhattanie. Wspomnienia bledną. Wypaczają się. Pamiętam to, co było dobre. Nie liczę zysków i strat. Jestem we własnym domu. Mam bliski kontakt z rodziną, która została w kraju. Staram się podtrzymywać więzy z tymi, którzy wyjechali – nie tylko do Stanów. Czy moje wyjazdy miały sens? Tak, były nauką. Sens miały też powroty. Emigracja to sprawa trudna i indywidualna. Świetnie jest mieć ją jako wybór — jako wolność, dzięki której wszystko mogę, a niczego nie muszę. Emigracja w desperacji i z konieczności to wielkie nieszczęście.

Grudzień 2025. „Gupi" morał. Wikipedia definiuje „inteligencję" jako zdolność do postrzegania, analizy oraz adaptacji do otoczenia i zachodzących w nim zmian. Trzymając się formalnie tej definicji, można by wysnuć logiczny wniosek, że brak adaptacji lub jej niski poziom do zmian otoczenia jest oznaką braku inteligencji. Powyższa definicja zakłada, że otoczenie jest nam narzucone jako dynamiczny czynnik zewnętrzny, a my adaptujemy się do niego sprawnie albo nie. Taaaa… Narzucone… W tym sęk. Pasuje mi to do metafory szczurów w labiryncie. Szalony naukowiec pochyla się nad labiryntem i robi szczurom przykre kawały. Tu razi je prąd, tam

są głodzone, gdzieś indziej łapki całkiem rozjeżdżają się na rozlanym oleju. W swym kajeciku skrupulatnie odnotowuje reakcje i postępy ich adaptacji, ocenia ich inteligencję. Na ścianach labiryntu zdjęcia „Szczura miesiąca", tablica poświęcona szczurom, które oddały życie dla chwały korporacji „Laboratorium", hasła dopingujące, żywcem wyjęte z innych systemów, ale wciąż zadziwiająco aktualne: „Program korporacji programem narodu", „Korporacja «Laboratorium» — jedyna droga rozwoju", „Naród popiera programy korporacji". I musiał strasznie się zdziwić, gdy jeden ze szczurów wyskoczył z labiryntu na podłogę i wrzasnął (może za Holoubkiem z tej słynnej i wspaniałej anegdoty ze SPATiF-u): „Nie wiem jak państwo, ale ja wypierdalam".

Trzecia zasada hawajskiej filozofii huny mówi, że energia podąża za uwagą. Nauka z kolei podkreśla doniosłą rolę obserwatora w mechanice kwantowej. Nie powinniśmy rozmieniać uwagi na drobne ani śledzić rzeczy nieistotnych, chwilowych, durnych. Pozbawione tej uwagi znikną, umrą z głodu, bo przecież żywią się właśnie tą naszą uwagą. Nie walczmy z systemami. Walka tworzy i pogłębia polaryzację oraz dualizm, a nas utwierdza w fałszywym przekonaniu, że powinniśmy się nimi interesować. Nie mam telewizora. Nie mam radia. Nieskutecznie staram się, aby nie docierały do mnie żadne newsy z internetu. Czasem kątem ucha usłyszę o tym, co dzieje się w Stanach. Robię wtedy oczy jak pięć złotych.